

CZŁOWIEK Z CZĄSTKAMI BRAZU

O tym skąd pochodzi, jak trafił do Oświęcimia i zamieszkał w naszym mieście, o sacrum i profanum tkwiących w jego rzeźbach, ciężkiej pracy rzeźbiarza tworzącego w brązie rozmawiam z Remigiuszem Dulko.

Urodził się Pan w Lidzbarku Warmińskim. To daleko od Oświęcimia...

Moi dziadkowie od strony ojca mieszkali w Wilnie i stamtąd po wojnie w wyniku repatriacji przyjechali pod Lidzbark Warmiński. Tam dziadek dostał gospodarstwo rolne. Ojciec też tam pracował, był nauczycielem całe życie. Ze strony mojego ojca wszyscy z zawodu byli albo nauczycielami, albo wojskowymi. Waśnie narodowe w rejonie wschodnim wymusiły to, że potrzebnych było dużo wojskowych, obrońców, bo „małe wojny i najazdy” działy się nawet między sąsiadami. A nauczycieli było dużo dlatego, że rosło nowe powojenne pokolenie. To były dwa najbardziej poważane zawody. Moja babcia była od strony nauczycieli, a dziadek był wojskowym, pochodzącym z Wilna. Od mojej mamy rodzina pochodzi ze Śląska. Dziadek ze strony mamy jako sanitariusz był wcielony do niemieckiej armii i zginął gdzieś w jenieckim obozie rosyjskim. Babcia jako rodowita Ślązaczka w Nowym Bieruniu przeżyła 98 lat. Całe życie pracowała, coś robiła.

Jak trafił Pan do Oświęcimia?

Tutaj poznałem żonę, ona jest stuprocentową oświęcimianką. Moi rodzice co pięć lat zmieniali miejsce zamieszkania w Polsce. Mieszkali w Poznańskim, w Kole, w Szczecińskim. Tam mieszkali w Puszczy Goleniowskiej we wsi Maciejewo. Wiedli wtedy bardzo zdrowe życie, ponieważ tam są tylko lasy i woda. Potem przyjechali na Śląsk, poszedłem do szkoły podstawowej i w zasadzie nie rozumiałem swoich kolegów, którzy gadali w śląskiej gwarze, nie mogłem ich zrozumieć. Dopiero po jakimś czasie trochę się nauczyłem. Oni byli przyzwyczajeni do tego, że ich nie rozumiano, bo w związku z pracą w kopalni było dużo napływowych ludzi. W Oświęcimiu mieszkam już od 30 lat.

Nie tęskno Panu do tych czystych lasów i wody?

Oczywiście, tęskno, ciągnie mnie do natury. W Szczecińskim często siedziałem nad jeziorem i moczyłem wędkę. Jednak żona, jak chce iść na spacer, to po chodnikach, po mieście, a mnie bardzo ciągnie do tych lasów. Dlatego mamy takie sytuacje, że jak jedziemy rowerami gdzieś z żoną, to ja bez przerwy zbaczam, gdy coś mnie zaciekawi, a żona tam nie chce i nie pojedzie. W sumie często jest tak, że ona wtedy skręca i jedzie po swojemu, a ja po swojemu, i wracamy osobno.

Kończy się to jakimiś małżeńskimi kłótniami?

Nie, nie! Mamy to uregulowane.

W takim razie już jako chłopiec łowiąc ryby ćwiczył Pan cierpliwość, która teraz potrzebna jest do tworzenia rzeźb?

Nie. Cierpliwość zawodowa to zupełnie coś innego. Mam kolegów konserwatorów, którzy jeden obrazek naprawiali przez długie godziny, ale to nie wynik ich cierpliwości. Oni byli ludźmi zwyczajnie nerwowymi. To jest wymóg zawodowy, zwyczajny tryb pracy. W mojej robocie jest tak, że ja sobie ją skracam, nie robię książkowo. Wiem, że jak robiłbym odpowiednio, to trwałoby to tydzień. A ja robię to dzień. Zdaję sobie sprawę z tego, że czasami się coś przez to zepsuje, ale biorę pod uwagę takie ryzyko. Jednak czasem jest tak, że zepsute okazuje się lepsze od tego, co założyłem. Sztuka to nie jest kwestia założenia technicznego, bo tak mógłby każdy – tu się szuka najróżniejszych przypadków. Czasami jest tak, że coś się usiłowało wymyślić, sposób wykonania, kombinowało się, rysowało i nic nie wyszło. A przypadek sprawił, że rzeźba np. leżała w magazynie przy innej, i to zainspirowało do wykonania ostatecznej formy. To nie jest tylko wyuczenie.

Usłyszałam, że w Pana żyłach płynie tatarska krew...

Nie, ja nic o tym nie wiem (śmiech). Natura taka jest, że musi coś wymieszać. Często mi się zdarzało, że ludzie tak mówili, doszukiwali się. Np. gdy byłem na wycieczce we Włoszech, uznawali mnie tam za Włocha.

Jak wygląda praca rzeźbiarza?

Ta robota jest właściwie robotą odludka. Tak jak w moim przypadku. Pół dnia spędza się w szkole w pracy, a później właściwie pracuje się z samym sobą, siedząc gdzieś, np. w pracowni w piwnicy i coś się wymyśla. Pewno czasem jest niebezpieczną jak zagłębia się tak w siebie. Wtedy albo się coś w sobie znajdzie i jest fajnie, albo bez przerwy coś się

maca wte i wewte. Niektórzy ludzie rzeczywiście umieją pracować, a niektórzy tylko symulują pracę. I tak jest w każdej branży.

Od razu wiedział Pan, że chce rzeźbić w brązie?

Kiedyś, jak byłem w wojsku, przypadkowo pojechaliśmy do Huty Warszawa. Tam z pieca martenowskiego wylewali stal. Wielki garnek, który mieścił kilka ton stali. Gdy roztopiona masa stali spływała, było to dla mnie fascynujące. Pamiętam też, jak mój profesor z Krakowa zawiózł nas do Nowej Huty i tam wylewali z wielkiego pieca tzw. surówkę. To jest olbrzymia temperatura i ogromna moc, naprawdę! Samą materię można przyrównać do pocisku - nie widzimy go, gdy wychodzi z lufy, a siłę rażenia ma dużą. Pocisk też ma moc, siłę do wszystkiego. Podobną siłę odczuwałem jeszcze kiedyś, jak byłem na studiach. Pojechałem do Norwegii i siedząc na zboczu fiordu wyczuwałem trzy energie – morze, które non stop biło o skały, skały, czyli ostoję i roślinność, która wściekła rosła na skałach. To takie naturalne energie. Jednak, gdy człowiek żyje w mieście to sobie tego nie uświadamia. Jest to możliwe jedynie, gdy żyje się blisko z naturą, w przestrzeni.

Na studiach był pan Bronisław Chromy z Krakowa, który miał na akademii prymitywny piec i prowadził zajęcia z odlewnictwa. Jak to mi się spodobało! Boję się ognia jako takiego, niekontrolowanego, np. pożaru koło domu. Jak mieszkałem w Szczecińskim bez przerwy z kolegami chodziliśmy z zapalkami i paliliśmy w lesie ogniska, bo było dużo gałęzi. Zawsze byłem bardzo blisko ognia. Zupełnie stopiony metal mogę dotknąć dłonią i nie mam żadnego bąbla, śladu, nic mi się nie dzieje. Każdy może tak zrobić, bo wilgoć skóry lekko ją izoluje. Oczywiście nie jest tak, że wsadzam całą dłoń do płynnego metalu! Trudno właściwie powiedzieć, ile metalu mam w sobie, bo non stop coś szlifuję i pyłek wnika w głąb skóry. Kiedyś czytałem, że w starożytności tylko odlewnicy przeżyli podczas dżumy czy innej zarazy. Okazuje się, że pyłki i związki miedzi w nich zawarte są grzybobójcze i bakteriobójcze. Nie wiem, ile ja mam wtarte tych związków, bo moja skóra wciąż dotyka metalu i wchłania. Ale szczerze powiedziawszy, jeśli chodzi o wizyty lekarskie, to chodzę jedynie do dentysty. Nie potrzebuję innych. Jakoś się trzymam (śmiech).

Jak powstają rzeźby z brązu w Pana wykonaniu? Jest Pan jednym z niewielu rzeźbiarzy w kraju, którzy sami je wykonują...

Kiedyś, zwłaszcza malarze, mówili, że rzeźbiarze nie umieją rysować. Nie zgadzam się z tym. Najlepsi rysownicy to rzeźbiarze po akademii. Oni uczyli się rysować obiekty stojące w przestrzeni z każdej strony. A rysują, bo to są projekty pod rzeźby. Po jakimś czasie zawsze uzbiera mi się dużo projektów, jednak z ich realizacją bywa różnie. Po rysowaniu biorę glinę i zaczynam lepić. W 50 proc. jest to przełożenie projektu, a w 50 proc. przypadek. Potem robię formę gipsową z gliny i znowu zaczynam manipulować woskiem. Na rysunkach znajduje się tylko zaznaczenie zamyśłu, potem jest dalsze poszukiwanie, ciekawość, dociekliwość. To nie jest wspomniana cierpliwość. Pracuję na wosku pszczelim, który jest na tyle plastyczny, że można go kleić, ciąć, przerabiać, a potem, jeśli się coś nie podoba mogę zniszczyć, stopić i od nowa wszystko robić. Brąz jest materiałem, który mi odpowiada. Właściwie często przerabiam swoje rzeźby, choć o niektórych mówię, że się już nie da. Warsztat mam bardzo opanowany, więc zdarza mi się, że coś z rzeźby odcinam, coś dospawam innego. Sztuka powinna być prosta, ale dosadna – to jest najlepsza sztuka. Świeża, aktualna, odkrywczą jak na swój czas. Rzeźby trzeba robić zwyczajne, ale sprawiające, że człowiek przystanie i zdziwi się.

Tworzy Pan zarówno rzeźby o wymiarze religijnym, boskim oraz rzeźby erotyzujące, sensualne? To się nie wyklucza?

Jeśli podejść do tego normalnie, zwyczajnie, to uważam, że jest to równomiernie wyważona tematyka. Z jednej strony patrząc, każdy człowiek jest seksualny, a ja zwyczajnie czuję pociąg do kobiety, więc dlaczego mam nie robić erotyzujących rzeźb? Czasami faktycznie można coś źle zinterpretować. Kiedyś np. miałem zlecenie na rzeźbę erotyczną, więc taką zrobiłem, a gdy zamawiający ją zobaczył, to stwierdził niestety, że to pornograficzna.

A z drugiej strony człowiek ma żyć życiem wiecznym. Z jednej strony to jest poszukiwanie sacrum, a z drugiej profanum. Kiedyś lubiłem wejść do każdego spotkanego kościoła i zobaczyć jego wystrój pod kątem plastycznym. Jestem obrazkowy, idę do kościoła i oglądam. Poznaję Pana Boga przez stronę wizualną. Niektóre obrazy do mnie przemawiają i mógłbym tam zostać i analizować, oglądać bez przerwy. To istota naszego żywota, żeby poznać tę wielkość. Robienie krzyży przeze mnie to jest poszukiwanie Pana Boga. Jednak niektórzy tego w ogóle nie rozumieją, tak, jak ja.

Czy ma Pan jakieś twórcze marzenie?

Jeśli mam być szczery, to tak, mam takie marzenie. Chciałbym kiedyś stopić brąz, wyrzucić go do góry i w powietrzu zrobić z niego jakąś rzeźbę. I żeby ona spadała jeszcze gorąca na ziemię. To jest takie, jak science fiction oglądane w telewizorze. W życiu chyba jest tak, że człowiek zawsze ma jakąś fantazję, marzy, a jak jeszcze się naogląda jakichś głupot, to już w ogóle chciałby się zrobić czarodziejem, takim „pół Pana Boga”. Bo czasami robi się te rzeźby, topi i jest to troszeczkę magiczne. Moje marzenie jest naiwne, ale nawet kapka metalu, który płynie, ma energię, która zostaje w rzeźbie, i to właśnie ją chcę odwrócić i zobaczyć.

Dziękuję za rozmowę.

Marzena Wilk